

Teatr piórem Temidy

Bez dyndania na księżycu

W najnowszym wystawieniu baletu „Pan Twardowski” na scenie Opery Narodowej Gustaw Klauzner ulitował się nad naszym polskim Faustem. Nie zawiesił go – zgodnie z tradycją i oryginalnym librettem – na księżycu, lecz w finale posadził go na ławeczce, przytulającego do serca żonę, Panią Twardowską. Oczywiście, ławeczka wygodniejsza aniżeli dyndanie na łańcuchu na księżycu, skąd zejść niepodobna. Zresztą księżyc dla Twardowskiego i tak był wyjściem nieporównanie lepszym niż smażenie się w piekło na wieki, co mu groziło, wszak podpisał cyrograf, zaprzędając duszę diabłu. Przed piekłem uratowała Twardowskiego – jak wiemy z tradycji – pieśń maryjna, którą śpiewał, kiedy diabeł, uleciawszy z nim przez komin karczmy „Rzym”, wziął azymut na piekło, egzekwując w ten sposób to, co mu się prawnie cyrografem należało. Ale religijnej pieśni diablisko znieść już nie było w stanie, porzuciło więc swą ofiarę po drodze, czyli na księżycu.

Na scenie Teatru Wielkiego o księżycu nie ma mowy. Zresztą inscenizator i choreograf – Gustaw Klauzner, jeszcze przed premierą zapowiadał, że w swoim spektaklu zamierza odejść od konwencji tradycją ustalonej i przenieść akcję w czasy współczesne. Tak więc już na samym początku zamiast szesnastowiecznego Krakowa i sędziwego Twardowskiego, zubożalego szlachcica polskiego, mistrza nauk alchemicznych, siedzącego przy kominku w swojej pracowni i rozmyślającego – oglądamy kolorowy tłum przemierzający scenę w różnych kierunkach, niczym na jarmarku. Pewnie tu Twardowski – współczesny młody człowiek, poznał piękną dziewczynę, w której się zakochał i z którą się ożenił. Jak się potem okaże, była to najlepsza decyzja, jaką w całym swoim życiu podjął, albowiem Pani Twardowska ze swoją wiarą, wyznawanymi wartościami i nieustanną miłością do męża wyrwie go ze szponów

diabła. Zwycięży dobro i miłość, a zło zostanie unicestwione, co bardzo komunikatywnie, interesująco i plastycznie pokazuje końcowa scena, kiedy diabeł zapada się, jakby powoli topił się w bagnie czy jakimś trzęsawisku. Jeszcze próbuje uciec się rękami jakiejś gałęzi, drzewa czy skrawka twardej ziemi, ale to na nic. Po chwili nie ma go już na powierzchni, tak jak diabolic i pozostałych postaci symbolizujących zło. Wszyscy ulegają unicestwieniu. Wymowna, ładna i sugestywna scena.

Mimo przeniesienia we współczesność i nadania spektaklowi znamion pewnego uniwersalizmu, twórcy nie oderwali się jednak całkowicie od tradycji związanej z dziełem Ludomira Różyckiego, uchodzącym przecież za rdzennie polski balet. I dobrze, dzięki temu te elementy, które zachowały się jako klasyczne w obecnej interpretacji baletu, podnoszą wartość spektaklu. Do nich należą znakomita, bardzo piękna i świetna ar-



Agnieszka Pietyra (Królowa Podziemi) i Władimir Jaroszenko (Strażnik Podziemi)

tystycznie scena duetu: Królowej Podziemi (Agnieszka Pietyra) i Strażnika Podziemi (Władimir Jaroszenko). Natomiast te obrazy, które zostały zinterpretowane superwspółcześnie, ze scenografią i kostiumami utrzymanymi w konwencji, powiedziałabym, wręcz futurystycznej – nie zawsze są czytelne. Zwłaszcza jeśli chodzi o rozpoznanie przez publiczność postaci. Tak jest na przykład z dość oryginalnie, lecz niezbyt komunikatywnie pomyślaną sceną na Wawelu, kiedy to królowi Zygmuntowi Augustowi, pogrążonemu w smutku po śmierci ukochanej żony Barbary Radziwiłłówny, Twardowski z pomocą diabła wywołuje zarys postaci zmarłej (w tej roli Dominika Krysztoforska). Scena ta z pewnością robi wrażenie wystrojem plastycznym i grą światła, ale ktoś, kto nie zna libretta, pewnie nie domyśliłby się, kim są postaci. Tym bardziej że

król Zygmunt August (Siergiej Basałajew) w niczym nie przypomina króla, a raczej jakiegoś upiora z piekła rodem. Tak ucharakteryzowano artystę, pobielono mu twarz i niepotrzebnie wyeksponowano elementy nadekspresywne, że postać ta staje się zagadką dla odbiorcy. Tym bardziej że scena jest wyciemniona i trzeba wyteżyc wzrok, by ujrzeć płaszcz królewski i koronę.

Także mało komunikatywna jest scena tyżająca karczmy „Rzym”. Pośród wielobarwnego tłumu postaci, tańczących, przechadzających się, pojawia się Twardowski ze swoim nieodłącznym „opiekunem” – diabłem. Tu rozegra się jedna z kluczowych scen. Twardowski kuszony dość długo przez diabła, w końcu dał się skusić i podpisując cyrograf, zastrzegł, że diabeł będzie mógł go sobie wziąć, ale tylko w Rzymie. Zachęcony przez piękną diabolicę Twardowski powinien

wejść do karczmy, gdzie nastąpi jego zguba. I chyba wchodzi, ale jest to nadzwyczaj umowna scena. Od strony wykonawczej spektakl jest bez najmniejszego zarzutu. Prócz głównych partii znakomicie tańczonych przez Wojciecha Ślęzaka w tytułowej roli, Karolinę Jupowicz jako Panią Twardowską i doskonałego w roli diabła Maksima Wojtuli (wspaniałe połączenie wysokiej perfekcji technicznej z zadaniami stricte aktorskimi, co dało wyśmienity efekt artystyczny), świetny jest także cały zespół baletowy, wyraźnie odnowiony, odmłodzony, czego rezultaty widać w tym spektaklu. Układ choreograficzny w głównej mierze oparty jest tu na balecie klasycznym, ale też nie brakuje tańca współczesnego.

Także muzyka Ludomira Różyckiego pod dyktando Michała Dworzyńskiego znakomicie zorkiestrowana wybrzmiewa tu nadzwyczaj głęboko, czysto i pięknie, ze wszystkimi akcentami nadającymi dramaturgii akcji i postaciom, z fragmentami wyeksponowanymi, gdzie trzeba, i ściszeniami tam, gdzie wymaga tego sytuacja. Nie zrobiono tu w partyturze żadnego przearanżowania, jedynie dokonano niewielkich skrótów. W każdym razie szacunek dla strony muzycznej dzieła Różyckiego stanowi tu inspirację dla ruchu. Ale ja wołałabym „Pana Twardowskiego” z zachowaniem tradycji wystawiania tego dzieła, z jego czarownością, bajkowością i metafizyką...

Temida Stankiewicz-Podhorecka

„Pan Twardowski” Ludomira Różyckiego, libretto Stefania Różycka, oprac. libretta, insc. i chor. Gustaw Klauzner, dyr. Michał Dworzyński, scenografia Milan David, Jana Hauskrechtova, światła Bogumil Palewicz, Balet i Orkiestra Opery Narodowej, Teatr Wielki – Opera Narodowa, Warszawa.

FOT. TEATR WIELKI - OPERA NARODOWA W WARSZAWIE - M. GURCZYŃSKI